Cena 30 groszy. Opłata pocztowa uiszczona gotówką

ZACZYN

TYGODNIK

Nr. 31 (36). Warszawa, czwartek dnia 5 sierpnia 1937 r. Rok II.

W ROCZNICĘ CZYNU*)

Wódz musi być — czy chce, czy nie chce, jeżeli chce być wodzem — musi być czymś innym, niż ci, których prowadzi. Jest to jego obowiązek, jest to jego wewnętrzna wartość... Nie ma pracy żadnej wśród ludzi i ludzkości bez tych, którzy tę pracę prowadzą, bez tych, którzy biorą na siebie obowiązek umiejętności i odpowiedzialności za to prowadzenie. Wodzowie, mali czy wielcy, w mniejszym czy większym wydaniu, są koniecznością. Nie ma pracy ludzkiej bez menerów, bez tych, którzy za innych biorą odpowiedzialność i którzy innym nakazują. A cóż dopiero, moi panowie, gdy przejdziemy do czynności wojskowych, do czynności, gdzie naturą rzeczy jest posłuch i gdzie naturą pracy jest rozkaz. Tam obowiązkiem wodza, obowiązkiem tego, który prowadzi, który, jak powiedziałem, musi być odrębnym człowiekiem, jest za wszystkich robić rachunek, rachunek, gdzie nie wolno brać pod uwagę sentymentu i uczuć, choćby najdroższych, gdzie nie wolno mierzyć tylko fantazją. Trzeba rachować zamiary chłodno, zarówno swoje, jak i swojego sąsiada.

— — — — — — — — — — —

W rachunku wodza musi być system, żaden wódz większej miary, żaden wódz większej skali, niczego nie osiągnie, gdy rachunku od siebie nie rozpocznie, gdy zacznie oceniać naprzód nieprzyjaciela, jego cele, jego zamiary, jego możności, jego wartości i potem dopiero, aby się do tego przystosował. Rachunek każdego wodza od siebie, od swych własnych wartości, od swych własnych sił zacząć się powinien, dopiero wtedy można myśleć o tych, z którymi walczy, dopiero wtedy, kiedy rachunek ten co do siebie zrobił, tylko wtedy wolno mu przejść do rachunku nieprzyjaciela i do rachunku tego, co spotkać może na swej drodze. Nie znam w historii wodza, jak powiadam, większej miary, który rachunek słabości przede wszystkim robi, który przede wszystkim mierzy swoją słabość, a tylko przed siłą wrogów i nieprzyjaciół pokornie głowę skłania.

(Kraków, 6 sierpnia 1922 r.).

*

Państwa i narody, które na podstawie kłamstwa, na podstawie negowania prawdy podają myśl polityczną, dążą do zguby. Takie państwo zbliża się ku upadkowi. Prawo walki o byt jest prawem istnienia życia w świecie. Ten jest słabszy, kto buduje na kłamstwie i fałszu, w porównaniu z tym, który buduje na prawdzie. Jak w walce wódz, który opiera się na kłamliwych wieściach, który się kłamliwymi raportami kieruje, idzie do przegranej, tak samo naród, który na kłamstwie buduje swe myśli, idzie do swej zguby.

— — — — — — — — — — —

Choroba ta (kłamstwo) jest głębszą, aniżeli wam się zdaje. Kłamstwo jest chorobą wielką. Oszczerstwo ma dlatego duże znaczenie, że mu wierzą. Przemawia wtedy, gdy mu wierzą, i ma właśnie dlatego duże znaczenie, że je u nas tak łatwo dusze przyjmują. Oszczerstwo byłoby tanie, gdyby go nikt nie przyjmował, gdyby mu nikt nie wierzył...

Gdy chodzi o mnie, dziękuję wam, że stajecie w obronie mojej czci i honoru. Ale ja nie tylko do was należę. Do was należę głęboko, gdyż dzięki waszej pracy i waszej krwi zostałem wysunięty na arenę historyczną, na tak wysokie stanowisko. Lecz ja należę do całej Polski, bo jako Naczelnik Państwa i Naczelny Wódz pracowałem z całą Polską. Należę tym samym i do tych oszczerców także.

— — — — — — — — — — —

Jesteście wszyscy dobrzy żołnierze, a dobry żołnierz honoru swego i honoru swego wodza zawsze będzie bronił.

(Lwów, 6 sierpnia 1923 r.).

*

Granica fałszu, fabrykowanego w Polsce, jest niesłychana...

Przy takim stałym fałszowaniu i reklamiarstwie można fałszować prawdę i ostrzegam was, leguny. Pracujcie nad prawdą historii sami, bo to, co historyk znajdzie, będą referaty, atramenty, no i brudy. Niechybnie, życie nie jest romansem, ale też nie powinno być i kałużą błota, w którym mybyśmy siebie czy też nasze dzieci, jak w lusterku, oglądali. Dlatego was ostrzegam, jak ongiś wyście mnie ostrzegali! I ostrzegam was tak, jak gdyby historia przyszłości, przyszłości być może niedalekiej...

Strzeżcie się, leguny, i piszcie swoje dokumenty!

(Warszawa, 9 sierpnia 1925 r.).

*

Mamy więc za sobą odwagę myśli i odwagę pracy — czynniki, które dają zawsze nowe życie i nowe prawdy. Stwierdzą to z przyjemnością ci, co będą mieli z nami do czynienia w historii... Działaliśmy w otoczeniu, które tych cech — odwagi myśli i działania — nie posiadało. Straciło je w niewoli.

Jeżeli powtórzę swoje porównanie myśliwskie, to muszę powiedzieć, iż społeczeństwo polskie przypominało mi kacze towarzystwo, zbierające się w błotku. Wyobrażałem sobie zawsze, oczekując przelotu ptaków, iż kaczki gadają w ten sposób: „Wylecieć trzeba ani za wcześnie, ani za późno, ale w samą porę. Gdy wyleci wcześniej — zginie, dlatego też zawsze lepiej jest czekać. Jest to rozum stanu, gdyż w ten sposób zachowuje się swe życie". A kiedy jakiś kaczor lub kaczka wyrwała się wcześniej, wszystkie kwakały: „Zginie na pewno, wyleciał za wcześnie!". To gdakanie szło za mną krok w krok, śladem kadrówki, przez cztery lata. Gdakały tak poważne kaczory i kaczki, kiwając poważnie głowami i przestrzegając młode, by nie naśladowały tych nierozumnych.

Prawda ta, wyhodowana przez długą niewolę, i z niej zrodzona niemoc, prawda ucieczki od słońca, od dnia, gdyż na niebie bujały drapieżne dwugłowe orły, — była powszechna.

Odwagi myśli i odwagi prawdy nie było. Gdy więc przebyliśmy drogę, odważnie

*) wyjątki z przemówień Józefa Piłsudskiego, wygłoszonych na zjazdach legionistów.

myślący i odważnie postępujący, wylatujący raczej za wcześnie, niż za późno, gdy przeżyliśmy kilka lat Polski, chciałbym na naszym przykładzie stwierdzić, iż odwaga myśli i pracy niezawsze się tak źle kończy, jak o tym mówią. Chcę stwierdzić, iż nasz przykład — odważnych myślą — dowodzi, iż często lepiej jest wylecieć za wcześnie, niż gdakać i siedzieć w błocie.

(Kielce, 8 sierpnia 1926 r.).

*

Nie ma już żadnej wątpliwości co do faktu historycznego, który starałem się w poprzednich odczytach nieraz wyjaśnić, a mianowicie — w 1914 roku, kiedy na świecie wybuchła wojna i kiedy ludzie szli przelewać strumieniami i potokami krew dla takich czy innych celów, między tymi celami nie było celu polskiego. Nikt o Polskę, jako o Polskę, krwi przelewać nie chciał i nie dążył do tego w swych celach politycznych, aby dla Polski cokolwiekbądź stało się innego, prócz tego, co było i przed wojną. My, jako legioniści, zrobiliśmy wstęp do możliwości przelania krwi za Polskę. Poszliśmy niewielką garścią ludzi, tym się różniąc od wszystkich innych, że ten niewielki strumień krwi, którýśmy mogli przelać, chcieliśmy dać dla Polski. Nie dla kogo innego, a jedynie dla Polski. To nasza palma pierwszeństwa w pracy dla ojczyzny naszej.

Mieliśmy więc tę palmę pierwszeństwa. Staraliśmy się pokazać naszym rodakom, że jest rzeczą rozumną i rozsądną przelewać krew dla siebie, nie dla kogo innego. Ta palma pierwszeństwa jest naszą cechą historyczną.

— — — — — — — — — — —

Zwycięstwa nad agenturami nie odnieśliśmy wcale. Agentury, jak jakieś przekleństwo, krok w krok idą dalej..

Moi panowie, wziąłem za temat tę prawdę rozmyślnie, i nie dla czego innego, jak dla postawienia kropki nad „i" i aby nie było powiedziane, że my musimy menażować prawdy agentury. Polskę, być może, czekają ciężkie przeżycia. Podczas kryzysów — powtarzam — strzeżcie się agentur! Idźcie swoją drogą, służąc jedynie Polsce, miłując tylko Polskę i nienawidząc tych, co służą obcym.

(Kalisz, 7 sierpnia 1927 r.).

*

Gdy czasy tak wielkie idą, co świat na inny zmieniają, to, proszę panów, czasy te nie są na miarę piersi tchórzyków, piersi łotrzyków. Muszą gdzieś iść czasy odrodzenia.

Moi panowie! Gdyśmy ongiś szli w pole, gdy byliśmy garstką, różniliśmy się od wszystkich żołnierzy dokoła i niczym innym myśmy się nie różnili, jak że pierś bujnie czuła i śpiewała huczną pieśń odrodzenia naszej ziemi. I gdy teraz, po tylu latach się spotykacie, ta pieśń odrodzenia, którą ongiś śpiewały piersi, dotąd ją czujecie, bo odrodzenie i wiosna to jedno i gdy wiosna na ziemi idzie, suche badyle się zielenią, suche wierzby kwitną i zwierzę każde i każdy człowiek pierś ma rozszerzoną; i pieśń miłości, gdy trele słowicze, gdy ryki tygrysów po ziemi idą z potęgą wiosny, gdy idzie odrodzenie, to wszystkie fibry duszy, wszystkie fibry ciała inaczej biją, inaczej śpiewają. I gdyśmy ongiś po naszej ziemi szli w bojach, gdy smutek, gdy boje na ziemi naszej panowały, to myśmy szli do boju, jak do tańca, jak do tańca na równych posadzkach, myśmy szli po drodze do pewności odrodzenia, w odrodzenie wierząc i o odrodzeniu myśląc.

(Wilno, 12 sierpnia 1928 r.).

NARÓD PAŃSTWOWCÓW POLSKICH

Profesor Czesław Znamierowski ogłosił w *„Dzienniku Poznańskim"* cykl artykułów pod ogólnym tytułem „Rehabilitacja narodu". Jeżeli zabieramy dziś głos, aby zakwestionować pewne twierdzenia prof. Znamierowskiego, to nie ze względu na rehabilitację narodu, ale ze względu na pomniejszenie państwa, którego równocześnie najniepotrzebniej dokonano. Z pośród bardzo wielu zastrzeżeń, jakie musi budzić u państwowców wspomniany wyżej cykl, ograniczymy się na razie do spraw najbardziej może ogólnych, bardzo jednak podstawowych i ważnych.

O narodzie napisano już wiele tomów. Wiele tomów napisano także o państwie, a jest wśród nich również i tom profesora Znamierowskiego. Jasnym jest jednak dla nas, że w naszych warunkach problem narodu i państwa może być rozpatrywany tylko w odniesieniu do aktualnych przejawów tego problemu w Polsce, a nie „sub specie aeternitatis" — w atmosferze abstrakcji i filozoficznego spokoju. Otóż w Polsce problem ten musi być postawiony całkiem inaczej niż swymi sugestiami wskazuje prof. Znamierowski.

Jaki jest zasadniczy pogląd prof. Znamierowskiego na wzajemny stosunek państwa i narodu? Niestety zupełnie inny, niż moglibyśmy się spodziewać po znakomitym uczonym. „Może tedy państwo — pisze prof. Z. — być sługą swego narodu, ale nie może natomiast z nim współzawodniczyć ani o prymat ani o prymogeniturę"; „Moc narodu nad państwem wynika właśnie z tego, że naród jest społecznością naturalną, a państwo tylko grupą celową"; „Państwo jest kratą żelazną, która ochrania narodowy ogród przed wtargnięciem obcej stopy".

Jak widać, mamy tu do czynienia z całkiem nie nową koncepcją „państwo jako stróż nocny", z którą niejednokrotnie rozprawialiśmy się w „Zaczynie". Punktem wyjścia prof. Znamierowskiego jest deterministyczny pogląd na naród, wierzy on, że naród — to wieczny i niezmienny twór, że istnieje jakaś niezmienna „dusza narodowa", niezmienny „charakter narodowy", jakiś naród sam w sobie, „Ding an sich"— trwały i nieprzekraczalny.

Otóż my, wywodząc nasze podstawy myślenia z indeterminizmu, stoimy na stanowisku biegunowo przeciwnym, dla nas narody są tworami żywymi, które się rodzą i rozwijają, które, co najważniejsza, można świadomie kształtować w z góry zamierzonym kierunku. Dla nas nie wystarczy — jak dla prof. Znamierowskiego — stwierdzenie, że naród „jest, bo jest". Według nas nie naród tworzy państwo, ale państwo tworzy naród, a tworzyć go musi takim, jakim tego chwila wymaga (w tym naszym twierdzeniu mamy sprzymierzeńca nawet w Romanie Dmowskim, o czym napiszemy osobno). Konsekwencje myślenia prof. Znamierowskiego prowadzić muszą do kultu *dobrowolności* w organizowaniu narodu; ten sam kult „dobrowolności" każe „narodowo-radykalnym" apoteozować konfederacje jako formę walki, co słusznie wyśmiewa w odniesieniu do dzisiejszych warunków p. Zdzisław Stahl („Kupą — mości panowie — na karabiny maszynowe — kupą!").

My propagujemy stale celowość i świadomość w kształtowaniu narodu, celowość i świadomość, którą narzuca państwo.

Lansując koncepcję państwa „ochraniającego" wartości narodu, prof. Znamierowski zdaje się zapominać, że nie mamy niemal nic do ochraniania lecz niemal wszystko do zdobycia. Na cóż się przyda nawet najsilniejsza krata, jeżeli w ochranianym przez nią ogrodzie pleni się chwast i usycha ugór? Tylko państwo, jako system współwytwarzający i kształtujący, może być do pomyślenia w takich właśnie warunkach. Wydaje się nam, że różnica jest tu bardzo głęboka, mianowicie różnica w *definicji polskości*.

W książeczce Zdzisława Dębickiego — pisanej zresztą przepięknym stylem—znajdujemy takie oto rozważania, co to jest Polska:

„Polska to wschody i zachody słońca, to szachownica pól, to łany szumiącego zboża, to gniazdo bocianie na stodole..." i tak dalej przez półtorej strony. Są tam dalej i jętki i malwy i Burek i brzęk kos i polna droga, wszystko pisane bardzo pięknym językiem, obrazowe i wzruszające. Otóż w takim rozumieniu polskości zgodzić się trzeba z prof. Znamierowskim.

Ale nasza definicja Polski jest całkiem inna. Nie kochamy zupełnie polnej drogi, bo chcemy żeby jej miejscem pobiegła asfaltowa szosa, albo szeroka autostrada.

Nie wzrusza nas brzęk kos i sierpów, bo chcemy, żeby zboże żęły nowoczesne żniwiarki. Kluje nas w oczy szachownica pól, bo widzimy w komasacji b. ważny postulat naszego rolnictwa, a wschody i zachody mamy w pięcie, dopóki oświetlają nędzę i marazm polskiego bytowania.

Dla nas Polska jest dziś zbiorem problemów, które musimy rozstrzygnąć, a zrobić to możemy tylko za pomocą tej „grupy celowej", której prof. Znamierowski tak ostatnio nie lubi.

Polskość skazana tylko na kultywowanie i „ochranianie" swoich „wartości" nie przetrwałaby długo, powróciłaby do okresu Drzymały, — zasadniczym elementem trwania musi być twórczość, a twórczość nie rodzi się nigdy z dotychczasowego, lecz musi się rozwijać z coraz to nowych wątków. Prof. Leon Chwistek, zwalczając kiedyś t. zw. malarstwo „rodzime" czy „narodowe", polegające na malowaniu chłopskich wesel, napisał najsłuszniej w świecie „gdy Polak stworzy coś nowego to to jest polskie i do tego żadnych górali ani huculów nie trzeba".

Z naszej definicji polskości wynika także definicja Polaka. Polakiem jest ten, kto swą twórczością pomnaża wartości Polski. Wysuwana przez Znamierowskiego koncepcja narodowa (ściślej pochodzeniowa), jest jeszcze logiczna (choć w naszych warunkach niebezpieczna) w ujęciu *negatywnym*, lecz wzięta *pozytywnie* nie wytrzymuje krytyki. Iluż to „rdzennie" polskich obywateli wciągniętych jest w interes układu niepolskiego np. sowieckiego albo watykańskiego? Czy jako „rdzennie" polscy mają oni decydować? Nasze kryterium o ileż sprawiedliwiej i przede wszystkim celowiej rozstrzyga o prawie decyzji w państwie, a co za tym idzie, o prawie świadomego kształtowania narodu. Dlatego, podejmując ironiczne powiedzenie prof. Znamierowskiego, chcemy i będziemy tworzyć i pomnażać ten właśnie „naród państwowców polskich", złączonych węzłem silniejszym niźli krew, którym jest dbałość o Sprawę Polską, o Jej rozwój, potęgę i obronność. Niebezpieczeństwo bliskiej wojny przestrzega; w groźnym i niebezpiecznym okresie, w jakim nam żyć wypadło, na pierwszym miejscu stawiamy właśnie te elementy siły i obronności Państwa, bo jak słusznie dumali śląscy rycerze z przepięknych „Krzyżowców" Szczuckiej:

„Byle się gibnął młody zrąb państwa polskiego, wnet wkraczał w bezpańską dziedzinę ciężkostopy sąsiad, nakładając jarzmo nierównie gorsze od iga własnych gospodzinów.

Snadnie tak już musiało być po wieki wieków". (56).

„SŁOŃ A KWESTIA POLSKA"

Nie wiem, gdzie i kiedy powstało to powiedzenie. Wiem, że jest bardzo charakterystycznym i nieprzeciętnie mądrze podpatrzonym spostrzeżeniem.

Pochodzi z anegdoty. W pewnym towarzystwie zadawano sobie pytanie, coby napisano w każdym narodzie na temat słonia.

Otóż stwierdzono, że Niemiec napisał by pięciotomowe dzieło pod tytułem „Wstęp do życia słonia, jego rozprzestrzenienia na kuli ziemskiej etc", Francuz napisałby „Słoń i jego miłostki", a Polak — ... „Słoń a kwestia polska".

Śmieszne? Nie. Tragiczne i mądre w swym tragizmie!

Co było by, gdyby nie ten kompleks psychiczny Polaków z okresu niewoli, który wszystkie zagadnienia, krążące po świecie i po naszym kraju, sprowadzał do tragicznej a jakże tęsknej i przemożnej monomanii „kwestia polska"? Tą monomanią, tym monoideizmem karmili się najlepsi Polacy, mogąc nie tylko sami działać w myśl tego monoideizmu, lecz, i wciągać w jego orbitę obcoplemienne narody, zamieszkałe na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej.

Tak mało potrzeba jest uczuć człowieko-wi. „Słoń i kwestia polska" to kompleks, bez którego, kto wie, czy dał by sobie radę sam Piłsudski przy największej swej genialności i przy najsłuszniejszej i najintensywniejszej walce o niepodległość Polski.

I zdaje się, gdy będziemy kiedyś budowali jakieś muzeum pamiątek niewoli lub walk o niepodległość, nie podobna będzie ominąć takiego napisu na ścianie tego muzeum.

Myślenie i czucie najlepszych obywateli cechuje często prostota i nieskomplikowanie.

Bo czymże karmić się ma patriotyczne uczucie wielu maluczkich, i szarych (w dobrym tego słowa znaczeniu) obywateli, jak nie tym kompleksem „słoń a kwestia polska"?

Takie nastawienie jest potrzebne, chociaż decydować nie może. Wielką rolę odgrywała taka psychika w okresie technicki wojskowej walki na bagnety i w ogóle walki wręcz. Taka psychika — to tylko niezbędna i sama przez się zrozumiała kanwa psychiczna, na której państwo znaczyć musi mądrość i wychowanie polityczne kilkunastu hierarchicznych szczebli, szczebli zróżniczkowanych według wieku, płci, zawodów i grup kulturalnych.

Z tą chwilą dopiero, gdy te pierwiastki wychowawcze zostaną wpojone i gdy planowość państwowa uzyska widoczne i zrozumiałe oblicze realizacyjne, nie wolno będzie obywatelom trwać na zbyt niskim bo tylko uczuciowym poziomie kompleksu „kwestii polskiej". A więc nie będzie mógł wyłgać się wyższy urzędnik od niezałatwiania lub złego załatwiania spraw państwowych tym, że przecież chodzi w krótkich spodenkach po przystani „Strzelca", nie wyłga się członek komisji motoryzacyjnej tym, że osobiście kierował raidem motocyklowym harcerzy, ani profesor fizyki wyższej uczelni nie wyłga się tym, że przecież wychowuje młodzież w duchu polsko-katolickim, biorąc udział w profesorskiej pielgrzymce na Jasną Górę i dając przykład młodzieży.

Ani wreszcie polityk wyższego rzędu nie wyłga się faktem budowania 600 metrów szosy, miast myślenia w wyższych regionach i pracy mózgu, nie mięśni, dla państwa.

Piszemy „Zaczyn", jak pewnie zauważyli czytelnicy, nie dla pensjonarek i szarych obywateli, którzy nie są i długo, a może i nigdy, nie będą w stanie myśleć i działać na wysokiej płaszczyźnie politycznej. Lecz o nich mówić zawsze można i należy.

Uważamy, że niezależnie od wielkich prac mózgowych, planistycznych, organizatorskich i realizacyjnych, w wielkim stylu, długo jeszcze naród nasz będzie wymagał prac o charakterze podtrzymywania kompleksu „słoń a kwestia polska". Podtrzymywania i rozszerzania tego kompleksu, pogłębiania jego wartości, uszlachetniania.

I tak, jak nie jeden polityk od czasu do czasu musi sobie w chwilach rozterki zadawać pytanie, jak zrobiłby to Józef Piłsudski, gdyby żył, tak każdy obywatel winien w jakże wielu czynnościach znaleźć przedłużenie osi psychicznej tego kompleksu „kwestii polskiej".

Szczególnie w naszym kraju, tak osaczonym przez działalność wielu międzynarodówek, jak kapitalistyczna, komunistyczna, klerykalna, masońska i żydowska, oś

(Dokończenie na str. 4-tej)

SAPIEHA DZIAŁA

Dopiero teraz cała prasa zamieszcza list Sapiehy, wystosowany do „Głosu Narodu", który stał się przedmiotem interpelacji senackiej w dn. 29 lipca b. r. Interpelujący senator dr Emil Bobrowski słusznie podkreśla prowokacyjność tego listu oraz sianie anarchii i nienawiści przez Sapiehę.

Oto treść tego listu:

„Nie mogąc osobno z powodu ogromnej ilości, tą drogą składam poszczególnym osobom, wszystkim zgromadzeniom, stowarzyszeniom, organizacjom i prasie katolickiej, jako też Duchowieństwu i wszystkim wiernym, nie tylko mej diecezji, ale całej Polski, — owszem nawet z Wychodźtwa — serdeczne i gorące podziękowanie tak za modlitwy w czasie ciężkiej choroby, jak i za tyle dowodów szczerej sympatii, solidarności i oddania, okazanych podczas ostatnich wydarzeń.

Składając to podziękowanie, wyrażam przekonanie, że katolicy polscy, poznawszy wielu i jakich wrogów ma Kościół katolicki w Polsce, będą umieli wyciągnąć odpowiednie wnioski dla swej konsekwentnej, zorganizowanej i odważnej pracy dla Królestwa Bożego w Ojczyźnie.

X. ADAM STEFAN SAPIEHA,
Arcybisk.-Metropolita Krakowski".

Rzecz szczególna — sam Sapieha widocznie nie chce, aby sprawa jego „rozeszła się po kościach", jak dotychczas można było przypuszczać.

KSIĘGA UBOGICH*)

„Spory przeszłości", jak nazywa się obecnie walkę zbrojną o niepodległość, nie dają się łatwo zapomnieć. Od czasu do czasu przypominają się jakieś bądź to przyczynkowe wspomnienia, bądź też próby „odbrązowiania"; od czasu do czasu jakiś zapoznany mąż stanu, osobiście lub przez wiernego ucznia, upomina się o swoje zasługi.

Przyznać trzeba jednak bezstronnie, że te ostatnie próby więcej przyczyniają się do zrozumienia najnowszej historii Polski, niż powódź bardzo skądinąd miłych i wzruszających wspomnień, często — niestety — zatrącających o naiwność. Zwłaszcza te prace, których zatajonym lub jawnym celem jest próba usprawiedliwiania jakiegoś stanowiska politycznego, jakie się swego czasu zajmowało, wywołują polemiki, oświadczenia i relacje, przyczyniając się do wyjaśnienia niejednych spornych punktów.

*) Na marginesie książki Władysława Studnickiego „Ludzie, Idee i Czyny".

Po iście tragicznym „Tragizmie dziejów Polski", po osławionych „Pamiętnikach" Dowbora-Muśnickiego, mamy do zanotowania książkę, przewyższającą pod względem poziomu obie wspomniane powyżej o całe niebo, ale w wielu punktach równie jak one tendencyjną, a mianowicie Wł. Studnickiego „Ludzie, Idee i Czyny". Oczywiście zestawienie Studnickiego z „historykami" — Giertychem i Dowborem wydaje się na pierwszy rzut oka karygodną i krzywdzącą przesadą. Bo rzeczywiście: „Tragizm" Giertycha to stanowczo przereklamowane maniactwo, kompilacja wszystkich starych „rewelacyj" endeckich, opublikowanych zresztą już dawno — na o ileż wyższym poziomie — przez Romana Dmowskiego („Polityka polska a odbudowa Państwa"), czy też, na poziomie mniej więcej równym, przez Jana Lipeckiego („Legenda Piłsudskiego") lub Adama Rozwadowskiego (praca zbiorowa o gen. Rozwadowskim); no a „Pamiętniki" Dowbora — to istny bełkot megalomanii, o wartości historycznej równej „dziełu" Giertycha.

Natomiast książka Studnickiego, pisana inteligentnie i miejscami b. ciekawa, stać się może częściowo b. interesującym przyczynkiem historycznym. Jeżeli jednak stawiamy ją w jednym szeregu z utworami Giertycha i Dowbora, to właśnie ze względu na zasadnicze podejście; podejście mające usprawiedliwić czy wyjaśnić zajęcie w szeregu okoliczności takiego, a nie innego stanowiska.

Studnicki ujmuje swą książkę, jako zbiór dziewiętnastu sylwetek osób, które odegrały najwybitniejszą rolę w epoce walk o niepodległość i powstawania państwa polskiego. Sam dobór owych „najwybitniejszych" nasuwa już pewne wątpliwości; brak jest naprzykład Jędrzeja Moraczewskiego, który odegrał b. ważną rolę polityczną wśród lewicy niepodległościowej, podczas gdy parę osób zupełnie drugoplanowych musi się czuć całkiem nieswojo w tak godnym towarzystwie. No, ale kwestia wyboru charakteryzowanych osób zawsze może być kwestionowana, zajmijmy się przeto samymi charakterystykami.

Postać Józefa Piłsudskiego stoi dla nas poza możliwością dyskusji. Nie czujemy się godni ani upoważnieni, żeby stawać w Jego obronie. Nie czujemy się na siłach polemizować z twierdzeniem Studnickiego, że Józef Piłsudski, „geniuszem jednak ani militarnym ani politycznym nie był" (str. 42). Nie będziemy również polemizować z twierdzeniem p. Studnickiego, że to gen. Rozwadowski a nie Piłsudski zwyciężył pod Warszawą (ib.). Przypomnimy tylko, że te oceny absolutnie nie są niczym nowym.

Ocenianie zdolności militarnych nie należy na ogół do ludzi, którzy chodzą w marynarkach. Warto w tym miejscu przypomnieć, z jaką odprawą spotkał się kiedyś p. Trąmpczyński, który rozpoczął na komisji w sejmie krytykę zdolności wojskowych Piłsudskiego i którego za to ówczesny generał Śmigły-Rydz napiętnował z bezwzględną surowością w liście otwartym do Prezydenta R. P. (Dlaczego nie zamieszczono tego listu w zbiorze. „Byście o sile nie zapomnieli"?).

Nie będziemy również udowadniać fałszu twierdzenia, że „egotyzm Piłsudskiego, jego nieoddzielanie Polski od osoby własnej, pchnęły go do przewrotu majowego" (str. 82), choć — naszym zdaniem — sprawa ta miała się całkiem inaczej. Tłumaczenie tym samym egotyzmem „rozbijania Legionów" i przeciwdziałania tworzeniu armii w okresie okupacji jest już albo świadomym krętactwem, albo zupełnym niezrozumieniem sytuacji politycznej w okresie, który właśnie Studnicki powinien znać doskonale.

Być może motywy, które skłoniły Piłsudskiego do wstrzymania werbunku do Legionów, obce były podówczas aktywiście Studnickiemu, ale dziś już rozumieją je wszyscy jako najzdrowszy przejaw myśli niepodległościowej i walki o niezależność Legionów.

Nie wdając się — jak zaznaczyłem wyżej — w szczegółowe analizowanie oceny Piłsudskiego przez p. Studnickiego, chciałbym tylko podkreślić śmieszność takiego mniej więcej rozumowania Studnickiego: Piłsudski geniuszem nie był, bo... nie słuchał moich rad.

Chodzi tutaj o sprawę granic wschodnich i koncepcje narodowościowe. Temat to niezwykle ciekawy i bardzo obszerny i w żaden sposób nie nadaje się na autorytatywne rozstrzygnięcie w trzech linijkach. Na marginesie trzeba zaznaczyć, że czas już najwyższy, aby wśród powodzi literatury uczuciowo-przyczynkarskiej o Józefie Piłsudskim znalazła się poważna praca dotycząca koncepcji narodowościowych Piłsudskiego z okresu pierwszych lat niepodległości. Tak cenny materiał jak „Rok 1920" Piłsudskiego; „Wyprawa kijowska" Kutrzeby; ostatnia część książki „Józef Piłsudski, jakim Go znałem" Wasilewskiego, czy nawet „Wojna Polska" Przybylskiego proszą się o uzupełnienia i syntezę. Wtedy i broszury Studnickiego będą ocenione sprawiedliwie.

„Orientacyjne" stanowisko Studnickiego, o którym wspomniałem przy omawianiu t. zw. „rozbijania Legionów", subtelną nicią przewija się przez całą książkę. Grubsze ściegi tej nici znaczą się przy ocenianiu Sikorskiego i Zagórskiego. Są oni „przedmiotem paszkwilów"; „sfora Stpiczyńskich" szarpie ich imię, a szkalowanie Zagórskiego „weszło w modę", chociaż, gdyby nie Zagórski „Legiony znalazłyby się w fatalnej pozycji".

Abstrahując zupełnie od późniejszych prac generałów, o których mowa, rola, jaką jeden z nich odgrywał w Departamencie Wojskowym N. K. N. w Piotrkowie, a drugi u boku pułkownika Hranilowicza, nie były to role najpiękniejsze. Tak przykra, ale potrzebna książka, jak Adama Skwarczyńskiego („O Władysławie Sikorskim") czy szereg artykułów o roli gen. Zagórskiego, nie wynikły z tego, że jak chce Studnicki — „istniał pewien antagonizm między Zagórskim a Piłsudskim",

---

(Dokończenie ze str. 3-ej)

psychiczna „kwestii polskiej" musi przechodzić przez psychikę każdego obywatela, a wszystkie czyny winny załamywać się w tym pryzmacie, stosować się do tego probierza.

Może kiedyś nadejdą czasy spokojnej równowagi politycznej Polski, że będzie mogła jak Anglia ze wstydem omijać mówienie na temat uczuć patriotycznych, jak Anglia, w której Nelson przed bitwą pod Trafalgar jakże lakonicznie przypominał: „Wielka Brytania spodziewa się, że każdy spełni swe zadanie". U nas długo jeszcze musi być inaczej.

Niestety, u nas nie dziś i nie jutro, ale jeszcze i pojutrze trzeba będzie patosem Savonaroli chłostać własny naród na dole i na górze i wpajać weń myślenie państwowymi kategoriami.

Należy jednak kompleks psychiczny patriotyzmu nieustannie waloryzować, by nie wisiał on w regionach uczucia i abstrakcji, by zawsze czynnie był uprawiany w codziennym wysiłku. A takie uprawianie i waloryzacja państwowych instynktów da się pomyśleć tylko wobec prawdziwej akcji i aktywności państwa. Musi się w Polsce coś dziać, coś widocznego dla obywatela. Procesy wzbierania instynktów patriotycznych muszą mieć swego rodzaju katalizator (w chemii — ciało, przyśpieszające procesy chemiczne).

Inaczej zamieni się ten tak szczęśliwy kompleks w kult frazesu politycznego, frazeologię bez materialnych skutków. Czyż tego chcielibyśmy?

Wiele obywateli, uczuciowych państwowców: robotników, inteligentów, rolników, ziemian, przemysłowców czeka na przedłużenie ogólno-narodowego kompleksu „słoń a kwestia polska". Trzeba im ten kompleks dać, lecz suum cuique (każdemu swoje). Dać określone wizje i zażądać określonych ofiar. Panować nad tym kompleksem winno państwo i tylko państwo. (77.)

znajdował swój całkiem konkretny odpowiednik w zupełnie różnym poglądzie na rolę Legionów i w zupełnie różnym stosunku do austriackich mocodawców kpt. Zagórskiego.

Szczyty triumfu święci jednak „orientacja“ Studnickiego w ocenie tragicznej nocy z 21 na 22 maja 1918-go r., kiedy to upór czy naiwność gen. Dowbora-Muśnickiego zniweczyły wytęsknioną wizję niepodległościowców, śniących o odrodzeniu idei Legionów, o stworzeniu z I korpusu siły zbrojnej, skierowanej tym razem przeciwko Niemcom.

Bohaterski zryw protestu przeciwko niedołęstwu i niemieckiej ultra-lojalnoci gen. Dowbora był nie tylko pięknym gestem garstki ideowców, ale równocześnie aktem głębokiej myśli politycznej. Dla p. Studnickiego jest on „nieudanym bezsensownym zamachem“ (str. 98). Zdaniem p. Studnickiego gen. Dowbór-Muśnicki „ma zasługę, że nie dopuścił bezsensownego krwi rozlewu, którego odgłosy wywołałyby zamęt w kraju“. Przez to — pisze Studnicki — że dalibyśmy wymordować pewną ilość żołnierzy z korpusu Dowbora-Muśnickiego, nie wpłynęlibyśmy na losy pokoju i wojny“. Znów nie wiadomo, czy mamy do czynienia z naiwnością, czy też z tendencją wykraczającą już poza wszelkie granice. Obszerna literatura, dotycząca tego „zamachu majowego“ (z r. 1918), winna była wyświetlić szczegółowo tę sprawę. „Strzępy epopei“ Wańkowicza, „Proces pułkownika Barty“ Lipińskiego („Niepodległość“) czy obszerne omówienie w „Walce zbrojnej o Niepodległość“, wreszcie szereg artykułów polemicznych po ukazaniu się „Pamiętników“ Dowbora czy nawet list gen. Kasprzyckiego w obronie honoru zmarłych uczestników zamachu, — to materiał dostatecznie obfity.

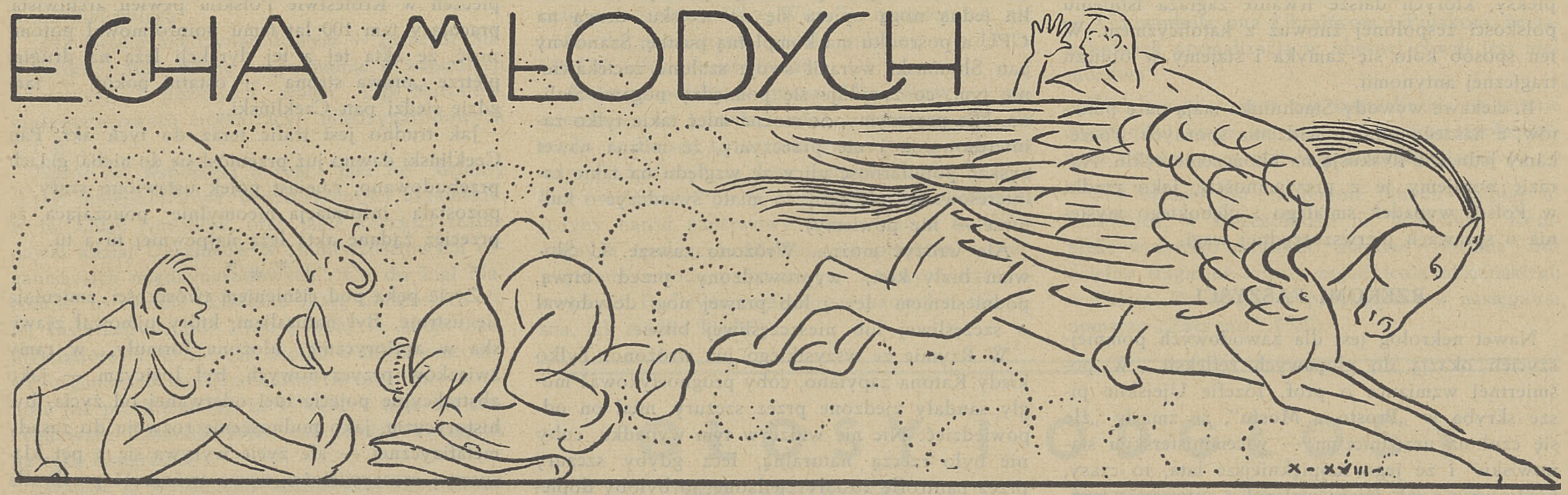
Książka Studnickiego roi się od rzucanych na marginesie autorytatywnych i rozstrzygających ocen, często bardzo krzywdzących i niesprawiedliwych. Można by tak wyliczać i polemizować bez końca. Powyżej zaznaczone przykłady dają wyobrażenie o ich rodzaju i tendencji, spróbujmy przeto uogólnić i wyciągnąć wnioski.

Całość pracy Władysława Studnickiego można by rozbić na trzy elementy: 1) wspomnienia osobiste, 2) uzupełnienie wspomnień na podstawie literatury, 3) interpretacja faktów.

Te trzy elementy należy zupełnie odrębnie rozpatrywać. Wspomnienia osobiste są miejscami bardzo ciekawe i — jak już wspomniałem — mogą stanowić cenny materiał historyczny. Literatura uzupełniająca potraktowana jest z wzruszającą naiwnością. Studnicki pełną garścią czerpie beztrosko z najbardziej tendencyjnych pamiętników i z najbardziej „popularnych“ broszurek. Pamiętniki jako źródło historyczne winny być zawsze traktowane z ogromną ostrożnością; dość przypomnieć, że nawet tak ciekawe i piękne „Pamiętniki“ Ignacego Daszyńskiego wymagały, bardzo zresztą przykrych „Poprawek historycznych“, a wartość historyczna broszurek w rodzaju p. Cepnika (na którym oparł Studnicki cały rozdział o Marszałku Śmigłym-Rydzu) ogólnie jest już znana.

Wreszcie interpretacja faktów nie wytrzymuje najmniejszej krytyki. Parę próbek daliśmy już powyżej.

Ponieważ jednak ta właśnie interpretacja faktów nadaje piętno całej książce, trzeba ją ocenić z gruntu negatywnie. Nie daje ona jasnego i prawdziwego obrazu ludzi, idei i czynów, które złożyły się na niepodległość. Jest ona raczej księgą ubogich w tradycje żołnierskie, którzy usiłują usprawiedliwić dzisiaj swój dawny zrównoważony rozsądek, których rewizjonizm historyczny polega na rewidowaniu cudzych zasług i zasłanianiu własnych błędów. (561).



LEWICOWA KOŁTUNERIA

Jan Stachniuk bardzo trafnie omawia w swej książce p. t. „H e r o i c z n a W s p ó l n o t a N a r o d u“ przejawy kołtunerii lewicowej. Lewica nasza wiele ma w sobie kołtuństwa. Oto przykładzik.

Uwolniono ostatnio z więzienia Sergiusza Piaseckiego, pisarza, który został wysoko oceniony przez świat literacki. Wszystko w porządku. Słusznie siedział w więzieniu — słusznie uczyniono, że zwolniono go. Lecz dla „E p o k i“ to zamało. Pieni się, skacze i „łamie krzesła“ (Aleksander Macedoński był wielkim bohaterem, lecz pócóż, opowiadając o nim na lekcjach historii, łamać w uniesieniu skarbowe krzesła („Rewizor“ Gogola“)).

„Kompleks więzienny“ stale działa. Kołtuństwu zdaje się stale, że w więzieniu siedzą najlepsi z lepszych.

A więc H. Dębiński, St. Jędrychowski i M. Zeromska siedzą „niesłusznie“ w Wilnie w areszcie zapobiegawczym w związku z wystąpieniami politycznymi.

Więc „E p o k a“ oburza się, rzucając retoryczne pytanie: „Kto nie przystanie ze zdumieniem wobec rażącego kontrastu uczuć: żywych i płomiennych dla S. Piaseckiego, a zimnych i obojętnych dla H. Dębińskiego i jego kolegów?“ Poświęca temu „Epoka“ aż wstępny artykuł (Nr 15), jak gdyby w Polsce innych zagadnień prócz spraw więzień dla literatów nie było.

Ileż jest usprawiedliwień dla wyżej wymienionych osób!? — W przeddzień zamknięcia zgłosili akces do PPS; „Zaczęli od katolicyzmu „społecznego“ “. „Radykalizm społeczny i zarazem wiernośc wobec kościoła“. „Jawnie i publicznie“. Byli w sanacji. Porzucili ją. Szukali. Odczuwali. Znaleźli wreszcie. I wtedy ich aresztowano! Jakto? A może ich aresztowali za demokrację — rzuca pytanie „ E p o k a“.

Zapewne za demokrację osadzono ich w areszcie, zapewne za akces do P. P. S., bo jakże może być inaczej?

Jak widzimy, literaci ci obiegli wszystkie organizacje polityczne w tak krótkim stosunkowo czasie: katolicyzm, radykalizm, sanacja, samodzielność, samotność, P. P. S.

Na wyjątku zwolnienia Sergiusza Piaseckiego długo i zadzierzyście będzie spekulowała nasza „lewica“ z „E p o k i“.

(Lewica? — ładna lewica — niedawno „Epoka“ tak bardzo pochwaliła „P r ó b ę s y n t e z“ Ignacego Matuszewskiego, wyraźnego rzecznika prawicy, że oczom nie można było uwierzyć. Ale uczyniła to prawdopodobnie na złość komu innemu, albo z uwagi na walory literackie. Niech żyje literatura!).

BARDZO SŁUSZNE UWAGI

W nrze 15 dwutygodnika M y ś l P o l s k a“ ukazał się wstępny artykuł W. Bączkowskiego p. t. „C i e r n i s t y s z l a k z j e d n o c z e n i a“.

Autor pisze między innymi:

„Największym źródłem klęsk dla najlepszych intencyj w Polsce był zawsze nadmiar ogólników, operowanie truizmami, inflacja komunałów. Trujący wpływ pięknych frazesów polega na tym, że nie porywając nikogo do ofiary i bohaterskiej pracy, jednocześnie demobilizują zdrową tendencję do odrzucenia kwietyzmu. Piękny frazes i truizm usypia.

Potrzeba nam dziś słów szorstkich, ryżowej szczotki zamiast wiązki kogucich piór. Pamiętamy wszyscy „skandaliczne“ wywiady i wypowiedzi J. Piłsudskiego po 1926 r., obrażające moralność pp. Dulskich, mobilizujące wszystko, cokolwiek było zdolnym do zwyciężania.

Lecz to co powiedzieliśmy dotyczy jeno formy. T r e ś ć z a g a d n i e n i a p o l e g a n a k o n k r e t a c h p r o g r a m u p r a c y. Zjednoczenie narodu pocznie zatracać anemię formalnej deklaracyjności, pocznie nabierać rumieńców życia wówczas, g d y r o z p o c z n i e s i ę o d b y w a ć n i e w o k ó ł s ł ó w, l e c z w o k ó ł c z y n ó w i p r z e m i a n k u l e p s z e m u.

Taka reforma rolna, która rozwiąże zagadnienie wsi, zrobi dla zjednoczenia stokroć więcej niżeli setka organów prasowych, nawołujących do konsolidacji; walka z ajenturami obcymi w Polsce da idei zjednoczenia takich entuzjastów, że pozwolą się posiekać na drobne kawałki o honor idei konsolidacyjnej; rozwiązywanie problemu bezrobocia będzie nożem w plecy komunizmu i olbrzymim krokiem ku jedności narodowej, chociaż by nawet nikt z tych setek tysięcy wczorajszych bezrobotnych nie złożył deklaracji o przystąpieniu do Obozu“.

Bardzo słuszne uwagi.

O KATOLICYZMIE

W 14-m numerze pisma „Polityka" (dawniej „Bunt Młodych") znajdujemy godny uwagi artykuł Jana Stachniuka p. t. „Nurt naszej epoki". Redakcja „Polityki" zaznacza w komentarzu, że nie podziela niektórych poglądów autora. Jan Stachniuk próbuje stworzyć teorię rozwoju Polski w latach 1600 — 1950. Ogromną rolę w kształtowaniu polskiej „świadomości zbiorowej" czy „ideologii grupy" przypisuje katolicyzmowi:

„W połowie wieku XVI-go, naród polski stanął przed koniecznością wyboru: miał zostać albo protestanckim, albo katolickim. Wybór ten decydował o tym czy się pójdzie łożyskiem narodów anglo-germańskich, a więc torem, który się następnie wyraził w ekonomice kapitalizmem, w polityce — liberalizmem, w filozofii i kulturze — indywidualizmem i utylitaryzmem lub też łożyskiem narodów romańskich z ich zasadą autorytetu, sztywnej hierarchii, przewagi kontemplacji nad działaniem, zastoju w ekonomice i życiu socjalnym".

W dalszym ciągu Stachniuk, stając na stanowisku reprezentowanym przez klasyczną socjologię, iż podstawą społeczeństwa są wrodzone popędy człowieka, widzi w zwycięstwie światopoglądu katolickiego zablokowanie popędów z natury swej istoty dynamicznych i tak instynkt woli sprawczej wynaturzył się w „kompleks dyletantyzmu", instynkt podporządkowania się dziełu idei ulega degeneracji w kompleks serwilistycznej cierpiętniczej uległości, a instynkt walki w kompleks przekory.

W tym mieści się tragizm zasadniczej antynomii dziejowej Polski. Katolicyzm i polskość stanowią całość, z katolicyzmu wyrosły te rozkładowe kompleksy, których dalsze trwanie zagraża istnieniu polskości zespolonej znowuż z katolicyzmem. W ten sposób koło się zamyka i stajemy w obliczu tragicznej antynomii.

B. ciekawe wywody Stachniuka mają parę punktów, z naszego punktu widzenia spornych. Poczekamy jednak z dyskusją na ukończenie cyklu. Narazie notujemy je z przyjemnością, jako rzadki w Polsce wypadek śmiałego i głębokiego myślenia o sprawach pierwszorzędnej wagi.

RZEKOMI FASZYŚCI

Nawet nekrolog jest dla zawodowych pomniejszycieli okazją do głupawych refleksji. W pośmiertnej wzmiance o prof. Józefie Ujejskim pisze skryba w **„Prosto z Mostu"**, że zmarły „źle się czuł na urzędniczym — wiceministerskim stanowisku" i że jego najpiękniejsze lata, to czasy, kiedy wraz z młodzieżą walczył o autonomię wyższych uczelni. Przede wszystkim ciekawi nas, kiedy prof. Ujejski opowiadał skrybie, czy źle czy dobrze czuje się na stanowisku wiceministra. Dalsze twierdzenie jest grubym nietaktem; skryba niewątpliwie zna ostatnie, głośne przemówienie Ujejskiego (wygłoszone przez radio i następnie opublikowane „in extenso" w prasie), w którym już w pierwszych zdaniach ze smutkiem i goryczą odwołuje Ujejski swe poprzednie stanowisko wobec „złotej wolności" akademickiej, a to na skutek wzmożonej akcji „bałkanizacji uniwersytetów", która święciła wtedy triumfy. Skryba powinien uszanować bolesne wyznanie przyjaciela młodzieży (gorzko zawiedzionego na jej „narodowej części) i nie piec w nekrologu politycznej pieczeni, sugestionując okresem, który zmarły uznał za swą omyłkę.

Oburzający wreszcie jest fakt pogardy dla „urzędniczego" stanowiska. Niewolnicza mentalność „Prosto z Mostu" święci tu swoje triumfy. Nie od dziś znamy tę akcję; „Prosto z Mostu" tysiącem drobnych dawek usiłuje wstrzyknąć młodzieży „spóźnioną psychikę romantyczno-powstańczą" w stosunku do niepodległego państwa i jego organów. Wstrętny ten proces słusznie nazwał Zdzisław Stahl „najwstrętniejszym i najnikczemniejszym geszeftem ze wszystkich geszeftów, jakie zrobiono w Niepodległej Polsce".

Przy sposobności przypomnijmy, że „Prosto z Mostu" jest tym samym pismem, które w pierwszym numerze po śmierci Józefa Piłsudskiego wydrukowało całą stronę „humoru"; które rzuciło się z obrzydliwym atakiem na seniora walk o niepodległość za to, że żądał ze strony państwa represji wobec aktów terroru; które szerzy dziś mit „męczenników" z Berezy; które zawsze i na każdym kroku uczy nienawidzieć policję, cenzora, komornika, to wszystko co jest „malum necessarium" współczesnego państwa; które ciągnie się w ogonie wszystkich liberalizmów.

Dla rozweselenia dodajmy, że nasza -- pożal się Boże — lewica, uważa „Prosto z Mostu" za pismo faszystowskie. O tempora! o mores! Trudno się dziwić doktorowi B.-S. z Krakowa, który powołany do roboty politycznej w Polsce, już po kilku tygodniach wolał wrócić z radością do swej pracy w szpitalu dla wariatów.

WRÓŻBICI

Jest rzeczą godną uwagi, że w Polsce jeszcze dzisiaj uprawiają wróżbiarstwo, a przede wszystkim dwa rodzaje: kledonizm i rhaspodomancję. Dla niewtajemniczonych w sztuki zakryte wyjaśnić należy, że kledonizm polega na wróżeniu ze słów usłyszanych, krzyków i głosów ludzi, a rhaspodomancja oznacza wróżenie przez otwieranie prac jakiegoś autora i czytanie pierwszego napotkanego zdania, które ma być mniej lub więcej jasną odpowiedzią losu.

Ilu naokoło nas podsłuchuje tego, co inni mówią, i wróży na tej podstawie dalszy rozwój wypadków w Polsce, a ilu wyrywa z poszczególnych artykułów jakieś zdania, wróżąc z niego wszystko?

(Świetnym przykładem na umiłowanie sobie rhaspodomancji jest p. Antoni Słonimski, który na półroczny dorobek „Zaczynu" w ten sposób zareagował, że wyrwał sobie jedno zdanie nie z artykułu, lecz z feljetonowego przeglądu „Palcem po mapie" i rzucił się na „Zaczyn". Autor „Palcem po mapie" pisał między innymi, że Stalin jedną nogą opiera się na wojsku, drugą na GPU a pośrodku ma kompletną pustkę. Szanowny pan Słonimski wyraził swoje szalone zaciekawienie tym, co znajduje się pomiędzy nogami Stalina. Nie przeczymy, że można mieć takie tylko zainteresowania i nie przeczymy, że można nawet zyskać popularność ulicy ze względu na takie zainteresowania, ale żeby to miało świadczyć o kulturze — nie powiemy).

Ale wróżyć można. Wróżono zawsze. U Słowian biały koń, wyprowadzony przed bitwą, podniesieniem lewej lub prawej nogi decydował o szczęśliwej lub nieszczęśliwej bitwie.

W Rzymie ze wszystkiego już wróżono. Tylko kiedy Katona zapytano, coby prognostykować mogły sandały zjedzone przez szczury, miał on odpowiedzieć: Nic nie widzę w tym wypadku, coby nie było rzeczą naturalną, lecz gdyby szczury przez pantrofle zostały zjedzone, to byłoby dopiero coś nadzwyczajnego i mogło by coś znaczyć.

W Polsce pojawiło się wielu wróżbitów.

I tak z usłyszanego słowa „państwo" wszystko wywróżą, a ile z przygodnie wychwyconych zdań przeciwnika, nie znając go nawet, wystawią nieomylnych horoskopów.

— „Państwo? Nic z tego. Przecież to fikcja... Tylko człowiek!..".

*

Jest rzeczą godną zainteresowania,że o tak zwanym człowieku wiele napisano w dziejach świata.

I tak humanizm nakreślił portrety wspaniałe. Kto nie zna wielkiej galerii bohaterów Plutarcha, podporządkowanych ideałom i cnocie? Galeria schematów ogarniętych wspólną linią. Potem ludzie Rochefoucaulda, którym samolubstwo nadało jednolitość wewnętrzną, potem ludzie Bruyera — sklasyfikowani, nazwani.

Czy zajmowanie się człowiekiem nie doprowadziło go do formuły pojęcia? Poznawali z niego tyle, ile mogli wyczytać z książek psychologii, a jeżeli wymykał się z pod określeń — sądzili go jako barbarzyńcę, czy wariata, i przestawał dla nich istnieć.

I słusznie powiedział zajmujący się tą kwestią Robert de Traz, że to, co ułatwiło pojąć człowieka, nie pozwoliło iść dalej i wynaleźć ludzi. Kiedy pokuszono się o to, aby przestać redukować do jednostki, nie szukać „jedynych okazów", nie formułować praw, ale stwierdzić wielorakość, badania nad normalnym dorosłym rozszerzyć na dziecko, na obłąkanego, na „dzikiego", — pojęto człowieka jako punkt zborny, przez który przechodzą wszyscy ludzie i każdy z nich w nim może się odnaleźć.

Ale tak pojęty człowiek okazuje się najczystszą fikcją, bo w ogóle rzeczywistość jest dla nas dostępna tylko w równych jednakowo fikcyjnych ujęciach.

Tylko że fikcja naszego człowieka jest szara i bezpłodna, o ileż przewyższają ją fikcyjne obrazy stosunków międzyludzkich od Platona przez Comta do Znanieckiego kreślone, korzeniami sięgające tych magicznych wierzeń szarych ludzi w tych, którzy zdolni byliby narzucić im wspaniałą wizję przyszłości na tłach szeroko rozpiętych opartą.

Z ilu neurastenicznych histerii, bolesnych szamotań się, mogła by wyzwolić naszych ludzi narzucona im rzeczywistość typu naprzykład państwowego, wyznaczająca wszystkim sens w wielkiej działającej maszynerii.

We wstępie do inwentarza akt Dyrekcji Ubezpieczeń w Królestwie Polskim pewien archiwista, pracujący tam 100 lat temu poinformował potomność, że akta tej a tej dyrekcji leżą na drugim piętrze „prawa strona" — ostatni pokój, — tam gdzie siedzi pan Czekliński...

Jak trudno jest trafić teraz do tych akt. Pan Czekliński dawno już przeniósł się do nieba, gmach przebudowano, zamiast półek ustawiono szafy — pozostała informacja nieomylnie pouczająca, że przecież żądane akta leżą najpewniej tu a tu.

* * *

Życie pęka pod ciśnieniem twórczości, zmieniają się ustroje. Był naturalizm, który ujmował zjawiska w apriorycznie ułożone formuły, w ramy związków przyczynowych, był logicyzm — jako abstrakcyjne pojęcie idei oderwanej od życia, był historycyzm, jako podnoszenie rozwoju do zasady metafizycznej — ale życie wyrywa się z pęt klasycznej rzeczywistości, nowa twórczość przekreśla jakże szalonym trudem zbudowaną, ustaloną pojęciową schematyzację.

Włóczy się jednak cały szereg dostojnych mężów, którzy zostali przy swoim — pojęli człowieka takiego, jaki powstał w okresie indywidualizmu, i zostali już przy nim na zawsze, jak przy beczce Pandory, gdzie znalazły się razem wszystkie zmartwienia, złudzenia, rozgoryczenia.

Pascal, autor słynnej modlitwy o korzyści osiągalne z choroby (le bon usage de la maladie), mógł ją pisać, bo sam był wielkim chorym. Tych dostojnych mężów nawet i choroba nie zbawi.

Zostanie im jedno — wróżyć, że tamci jednak przegrają. Wezmą się za kledonizm i rhaspodomancję. (316).

PO TAMTEJ STRONIE

Z ankiety ukraińskiej na temat normalizacji stosunków polsko-ukraińskich najciekawszy bodaj jest głos dra Wł. Starosolskiego, ogłoszony na łamach „Diła" (29. VII).

Adwokat dr W. Starosolski jest starym działaczem socjal-demokratycznym i jednym z przywódców Ukraińskiej Partii Socjal-Demokratycznej. Jako działacz społeczny, polityk i człowiek cieszy się on w swoim społeczeństwie powszechnym szacunkiem. Już w okresie wojny światowej odgrywał dr Starosolski w ukraińskim życiu społeczno-politycznym poważną rolę. Brał czynny udział w Ukr. Siczowych Strzelcach, a potem w tworzeniu armii ukraińskiej i rządów Zachodnio-Ukraińskiej Republiki Ludowej. Po klęsce Ukraińców osiadł na jakiś czas w Pradze czeskiej i tam wykładał na Uniwersytecie Ukraińskim, jako jeden z profesorów tegoż uniwersytetu.

Potem powrócił do kraju, zakładając we Lwowie kancelarię adwokacką. Jest on jednym z najbardziej renomowanych obrońców w głośnych procesach karno-politycznych. Spod pióra dra W. Starosolskiego wyszło szereg publikacyj prawniczo-naukowych. Obok znanego nacjologa ukraińskiego prof. J. O. Boczkowskiego mec. Starosolski jest jednym z naukowców ukraińskich, poświęcających się badaniom narodowościowym.

Partia, której przewodzi dr Starosolski, nie wykazuje w ciągu ostatnich lat szerszej działalności. Ongiś bardzo ruchliwa, Ukr. Partia Socjalno-De

mokratyczna posiadała we Lwowie własny dziennik „Wpered" oraz szereg periodyków. Obecnie nie ma swego organu prasowego. Życie swe U. S. D. P. skupia w towarzystwach „Robitnycza Hromada", oraz w doraźnie zwoływanych zebraniach. Raz do roku, w dniu 1 maja sztandar USDP ukazuje się na ulicach Lwowa i w kilku innych robotniczych skupieniach województw południowo wschodnich obok sztandaru P. P. S. W opinii zatem prawicowej części społeczeństwa ukraińskiego U. S. D. P. posiada reputację „ogonka" PPS, chociaż to nie jest słuszne.

Z powyższego widzimy, że gdy opinia o „normalizacji" podana na łamach „Diła" ze strony dra Dm. Lewickiego wychodzi ze środowiska partii U. N. D. O., która zawarła swego czasu t. zw. „kompromis wyborczy" z rządem, — głos dr W. Starosolskiego na omawiany temat pochodzi ze środowiska partyjnego wręcz odmiennego, bo socjalistycznego.

W swej odpowiedzi na ankietę „Diła" dr. W. Starosolski podkreśla najprzód właśnie ten moment.

„Przedmiotem ankiety jest linia polityczna UNDO, a więc jednej tylko partii, chociaż partii najsilniejszej i w związku z tym reprezentatywnej. Panowie piszą o podstawie „taktyki narodowo-politycznej, która powstała przed dwu laty", i widocznie mają na myśli politykę UNDO".

Obarczywszy jedynie UNDO odpowiedzialnością po stronie ukraińskiej za politykę normalizacyjną, autor stwierdza dalej:

„Nie może być wątpliwości co do tego, że na stępstwem tej zmiany jest całkowity impas polityczny".

Nie bez słuszności czytelnik polski zechce zapoznać się z tym, na czym ten „impas" polityki ukraińskiej polega.

„Na terenie międzynarodowym — pisze dr Starosolski — ujawnił się on formalnie w kapitulacji na wszystkich pozycjach wobec Ligi Narodów, mniejszościowych organizacyj międzynarodowych i. t. p.".

Autor nie wspomina o tym, jaki los dzieliły skargi mniejszościowe, w szczególności ukraińskie, w tej Lidze Narodów, oraz jakie korzyści realne dawał udział Ukraińców w „mniejszościowych organizacjach międzynarodowych". Co do Ligi Narodów, to istotnie składanie skarg ukraińskich do tej instytucji ustało. Zresztą była to akcja bezprzedmiotowa. O ile zaś chodzi o międzynarodowe organizacje mniejszościowe, to mieliśmy możność już przekonać się, że UNDO z tego nie zrezygnowało. Zmieniło tylko ton swoich wystąpień na tych kongresach.

Ciekawe są wynurzenia autora dotyczące terenu polityki wewnątrz państwa polskiego:

„Na terenie Rzeczypospolitej Polskiej nie wysunięto w związku ze zmianą taktyki ani jednego postulatu o charakterze politycznym. Żądania, które postawiono i których przyszłe zaspokojenie lansowano jako sukces, jako zmianę kursu polityki rządu wobec Ukraińców, w żadnym razie nie były i nie mogły być uznane za istotnie polityczne postulaty Ukraińców. Właśnie pod kątem widzenia polityki „realnej" i „ugodowej" (bo tylko z takiego punktu widzenia można sprawę rozpatrywać) sprawa terminologii i sprawa Narodnego Domu nie mogła być przedmiotem pertraktacyj politycznych w związku ze „zmianą taktyki narodowo-politycznej". To rozwiązanie (oczywiście nie takie, jakie w rzeczywistości miało miejsce) musiałoby być koniecznym i samo przez się zrozumiałym skutkiem zmiany stosunków między obu stronami. W każdym razie nie może samo tylko rozwiązanie tych dwu spraw oznaczać zasadniczej zmiany stosunku strony polskiej do ukraińskiej: Wysunięcie tych właśnie spraw, jako postulatu ze strony ukraińskiej, związanego z zasadniczą zmianą „taktyki narodowo-politycznej" jest niczym innym, jak całkowitym impasem politycznym".

„Naturalnym i koniecznym skutkiem tej polityki impasu — ciągnie dalej dr Starosolski — była capitis deminutio — deprecjacja kwestii ukraińskiej w Polsce, jej degradacja jako wielkiego i poważnego problemu politycznego".

„Dla strony polskiej zagadnienie ukraińskie przestało istnieć. Wymownym dowodem tego pod kątem widzenia formalnym były enuncjacje programowe, które w ciągu dwu ostatnich lat słyszeliśmy z ust przywódców grupy rządzącej w Polsce. Jak małe miejsce, nawet w porównaniu z ubiegłymi latami, zajmowała w tych enuncjacjach sprawa ukraińska i jak bardzo zmienił się na jej niekorzyść sposób podejścia do niej. Materialnym zaś dowodem degradacji jest wszystko to, o czym się tyle pisze lub próbuje pisać w prasie polskiej. Do zaostrzenia sytuacji nie mało się też przyczyniła wewnętrzna walka polityczna w społeczeństwie polskim".

Zmiana taktyki UNDO pociągnęła za sobą ujemne skutki w wewnętrznym życiu ukraińskim:

„Szerzy się defetyzm, dezorientacja, ucieczka od polityki".

„Najbliższa przyszłość nie będzie radosna. Zadania są ciężkie. Na porządku dziennym stoi sprawa demokratyzacji społeczeństwa i demokratyzacja polityki".

„Nie tylko jako socjalny demokrata i nie tylko z punktu widzenia partyjnego żałuję, że mamy słabą partię socjalno-demokratyczną. Przynajmniej w roli opozycji mogłaby ona w znacznym stopniu dopomóc w rozwiązywaniu zadań, które stawia przed społeczeństwem ukraińskim doba dzisiejsza".

Jakby uzupełnieniem wywodów socjalisty Starosolskiego jest zdanie, wypowiedziane pod adresem posłów ukraińskich przez nacjonalistyczne „Ukraiński Wisty" (3. VII. art. „Przede wszystkim w interesie polityki państwowej jest..."). Ten organ Frontu Jedności Narodowej, grupy politycznej zbudowanej na zasadzie wodzowstwa, na czele której stoi jako „prowidnyk" b. poseł sejmowy Dm. Palijiw, wyśmiewa posłów ukraińskich obu grup — halickiej i wołyńskiej, że w swych przemówieniach, jak również artykułach prasowych, usiłują przekonać Polaków, że swoje postulaty uzasadniają interesami polityki państwowej. Tymczasem, zdaniem „Ukr. Wisty", argument ten nie trafia do przekonania stronie polskiej, a politycy UNDO tylko się ośmieszają.

„Państwo polskie — piszą „Ukr. Wisty" — zamieszkują, co prawda, różne narodowości, ale rządy w Polsce są narodowo-polskie i wyłączną odpowiedzialność za losy państwa brali dotąd i biorą wyłącznie Polacy, czyli oni uważają siebie za jedyny naród państwowy. Nie widać u Polaków żadnych tendencyj dzielenia się prawami i obowiązkami narodu państwowego z innymi narodowościami. Pod tym względem sytuacja jest tak jasna, jak rzadko kiedy".

Czy w takim stanie rzeczy zalecają „Ukr. Wisty" zaniechać stawiania swoich postulatów?

„O, dalecy jesteśmy od takiej myśli" — powiadają „U. W."

„Przeciwnie: należy domagać się wszystkich praw, które się nam należą. I szkolnictwa, i praw językowych, i samorządu itd. Domagać się zaś trzeba dlatego, że my bez tego żyć nie możemy, nie możemy rozwijać się. Należy walczyć o wszystkie prawa".

Normalizacja w obecnym czasie jest niemożliwa. Takie oryginalne stanowisko w dyskusji normalizacyjnej zajmuje „Nasz Prapor" (Nr 82) w art. „Sukces normalizacji", wychodzący co drugi dzień we Lwowie, organ zbliżony do b. ukraińskich kół wojskowych. Dla tego organu jest rzeczą niezrozumiałą, dlaczego kierownictwo UNDO zawarło w 1935 r. porozumienie z rządem, a nie ze społeczeństwem polskim:

„Dwa różne narody z właściwą sobie kulturą, historią, religią, językiem, zwyczajami i obyczajami, oraz, co najważniejsza, narody o odrębnym samopoczuciu wewnętrznym i wolą bytowania swoim własnym życiem, według swojej woli i upodobania, w żaden sposób i nigdy nie potrafią na dłuższą metę żyć w symbiozie".

„Twierdzimy więc, że już w samej nazwie „normalizacja" — uregulowanie stosunków pomiędzy narodem niepaństwowym a narodem panującym, kryje się zasadniczy błąd. Cóż więc mówić o wszystkich innych założeniach „normalizacji", biorąc pod uwagę to, że jest ona nie do przyjęcia, oraz nietolerancją i wzajemną ekskluzywność dwu odrębnych wspólnot i celowych ich idei".

Pozytywnym rezultatem normalizacji, zdaniem „Naszego Praporu", jest fakt, że:

„Udowodniła ona Ukraińcom i Polakom, że jakakolwiek normalizacja w obecnej chwili jest niemożliwa".

Widzimy więc, że t. zw. normalizacja na terenie Małopolski budzi ze wszystkich stron społeczeństwa ukraińskiego głębokie niezadowolenie.

Czy inaczej jest na terenie innych skupisk ukraińskich, w szczególności na Wołyniu? Kompleks wołyńsko-ukraiński stanowi obecnie oddzielny fragment całości zagadnienia ukraińskiego w Polsce. Do niego też przystąpimy w następnym numerze „Zaczynu". (320).

GŁOSY I ODGŁOSY

DWIE GOSPODARKI

W swej nader interesującej książce p. t. „Practical Economics or Studies in Economic Planning" G. D. H. Cole omawia problemy planowania gospodarczego w Sowietach, Italii, Niemczech, Stanach Zjednoczonych i Anglii. Przytaczamy garść ogólnych rozważań na temat krajów „faszystowskich".

„Kraje faszystowskie — Italia i Niemcy — nie mają gospodarki planowej podobnej cośkolwiek do sowieckiej. Bowiem zasadą doktryny faszystowskiej jest to, że przedsiębiorczość prywatna winna być zachowana, i że państwo powinno nadzorować przemysł, nie zaś administrować nim.

Według teorii faszyzmu przedsiębiorcy-kapitaliści narówni z robotnikami i wszystkimi innymi obywatelami są sługami państwa, które nakłada na nich obowiązki w interesie całej ludności.

„Funkcją" przedsiębiorcy jest działalność w swym zakładzie w charakterze przywódcy i przedstawiciela gospodarstwa społecznego; w związku z tym wyposażony on jest w specjalny autorytet, nadany mu przez państwo w stosunkach z robotnikami.

„Funkcją" robotników, jako członków gospodarstwa społecznego jest bezwzględne wykonywanie rozkazów przedsiębiorcy; każdy przejaw braku dyscypliny z ich strony, jak naprzykład strajki, jest natychmiast karany.

Z drugiej strony, przedsiębiorca, mając pełnię władzy wydawania rozkazów, których pracownicy winni słuchać, nie ma prawa urządzać lokautów, powodujących przerwę w produkcji i szkodzących państwu".

Dalej jednak czyni Cole słuszne zastrzeżenie:

„Ten opis tyczy się bardziej ściśle Niemiec, niż Italii. Bowiem, podczas gdy Nazi podnoszą energicznie zasadę osobistego wodzowstwa i autorytetu w każdej dziedzinie życia publicznego i gospodarczego, — faszyści italscy — poza wynoszeniem prymatu Il Duce — bardziej kładą nacisk, w każdym razie w teorii, na zasadę kontroli „korporatywnej".

Niemcy nie są i nie usiłują zostać państwem korporacyjnym, lecz raczej oświadczają się jako państwo oparte o powszechne uznanie zasady osobistego wodzowstwa i autorytetu. Wiele jest podobieństw pomiędzy absolutyzmem Hitlera i Mussoliniego, lecz mniej — pomiędzy strukturami poli-

WYDAWNICTWA NADESŁANE

„Życiorysy włościan". Tom 1 wydawnictwa „Wiejscy działacze społeczni" — Instytut Socjologii Wsi Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego, Warszawa, 1937 r. Str. 415 + 12 nlb. Wydane z zasiłku Państwowego Instytutu Kultury Wsi. Skład główny: Kasa im. Mianowskiego, Warszawa, Pałac Staszica.

Henryk de Man: „O psychologii socjalizmu", Warszawa, 1937 r. Str. 361. Nakładem Towarzystwa Wydawniczego „Rój".

Bogdan Suchodolski: „Uspołecznienie kultury". Warszawa, 1937 r. Str. 385. Nakładem Towarzystwa Wydawniczego „Rój".

tycznymi i gospodarczymi, które zostały rozbudowane pod tymi różnymi systemami władzy. Niemcy są przedstawicielem zasady militarystycznej autorytatywnej dyscypliny pod osobistym wodzowstwem; Italia natomiast jest organizmem korporacyjnym, kierowanym i kontrolowanym przez bezwzględny autorytet suwerennego państwa.

Stąd w Italii kładzie się nacisk na zasadę wyłonionej władzy korporatywnej. Il Duce Mussolini jest głową państwa z nieograniczoną władzą i — zgodnie z teorią faszyzmu — jako głowa państwa ma on absolutną władzę nad każdą osobą i instytucją w państwie.

Zaś w Niemczech widzimy pod Hitlerem zastępy „mniejszych" führerów, w Italii pod Mussolinim odnajdujemy instytucje korporatywne każda z wyznaczonym zakresem zbiorowych kompetencji.

Hitler wysuwa panowanie indywidualności, Mussolini — system zespołów funkcyjnych, podporządkowanych państwu i skoordynowanych przez nie.

*

„Można rzec z całą pewnością, że zarówno w Italii jak i w Niemczech interwencja państwa na polu gospodarczym poszła znacznie dalej niż nastąpiłoby to tylko z przyczyn kryzysu światowego. Oczywiście w pewnej mierze odnosi się to i do wszystkich państw; lecz z pośród większych specjalnie tyczy się tych dwóch państw. W obu wypadkach napięcie zaburzeń gospodarczych zmusiło państwo do interwencji w celu uratowania struktury zarówno finansowej, jak i przemysłowej od upadku. W obu krajach większa część przemysłu przeszła wskutek zamrożenia kredytów bankowych we władanie i faktyczną własność banków; w obu wypadkach banki te zostały przekształcone przy pomocy państwa metodami, które uczyniły z nich faktycznych agentów państwa. W obu krajach obieg pieniężny wymagał zastosowania ścisłej kontroli wszystkich operacyj walutowych z zagranicą, kierowanych przez banki emisyjne w imieniu i na rachunek państwa; a ta potrzeba opieki nad walutą spowodowała nie mniej ostrą kontrolę przywozu, nie tylko drogą operowania stawkami celnymi, lecz także kontyngentami, zakazami przywozu i specjalnymi restrykcyjnymi umowami handlowymi z innymi państwami.

W obu państwach potrzeba zwalczania bezrobocia poprowadziła do polityki wielkich robót publicznych, a także do subsydiowania przedsiębiorczości prywatnej, w celu skłonienia jej do zaangażowania dodatkowych rąk roboczych. W obu tych krajach polityka ta spowodowała ekspansję pieniądza wewnętrznego, co doprowadziło do wzrostu kosztów utrzymania; jednak poczyniono usiłowania do zahamowania tego wzrostu przez państwową kontrolę cen.

W obu krajach rozważnie zmniejszono płace bez odpowiedniego spadku kosztów utrzymania; i w obu krajach wezwano pracowników do zaciskania pasa (to tighten their belts) w obliczu konieczności państwowych. Znów w obu krajach położono wielkie wysiłki w zwiększeniu produkcji żywnościowej dla celów militarnych jak i w celu zmniejszenia przywozu.

Nie ulega wątpliwości, że wiele z tych środków zastosowanoby nawet wtedy, gdyby nie istniał światowy kryzys gospodarczy; lecz napewno byłyby one stosowane mniej intensywnie. Że stosowano je na ogół bardziej intensywnie w Niemczech, niż w Italii, wynikało to po części z różnicy pomiędzy rewolucją niemiecką a italską, a także w znacznej mierze zależało to od stopnia, w jakim kryzys doświadczył zaawansowaną, lecz dysproporcjonalną strukturę przebudowanego po wojnie kapitalizmu niemieckiego".

ANGLIA „NAŚLADUJE" POLSKĘ

Czerwona prasa stale wrzeszczy.

Jej reporterzy są detektywami, którzy robią wywiad z bratem zamachowca Bieganka o kilka godzin wcześniej, niż zajmuje się nim sędzia śledczy.

Gdy porusza się problem motoryzacji — czerwona prasa wrzeszczy i pomaga „motoryzatorom", uderzając z furią na „zasadniczy element" motoryzacji: ruch furmanek i rowerów na drogach publicznych.

W „Ekspresie Porannym" z dnia 4 b. m. czytamy: „Anglicy pójdą za przykładem Polski": „Anglicy skłonni byliby rzekomo pójść we wrześniu w Genewie śladami wytkniętymi w maju przez Polskę w deklaracji, złożonej przez delegata polskiego, min. Komarnickiego, który oświadczył, że sprawa abisyńska nie istnieje".

Jak to pięknie. — Anglia naśladuje Polskę! Hip, hip, hurra!

PALCEM PO MAPIE

Nasze zeszłotygodniowe przypuszczenia co do komitetu londyńskiego, jak dotychczas sprawdzają się omalże stuprocentowo.

Polityka „nieinterwencji" leży w gruzach, a jak się sam minister Eden przyznał na ostatnim przedwakacyjnym posiedzeniu Izby Gmin — polityka ta zawsze była świadomym samooszukiwaniem, popełnianym w imię teorii „mniejszego zła".

Dziś sytuacja w londyńskim komitecie nieinterwencji wygląda całkiem beznadziejnie.

Premier Chamberlain, minister Eden i ambasador v. Ribbentrop okazali bardzo wiele zdrowego realizmu, rozpoczynając normalne urlopy wypoczynkowe, tym bardziej, iż wbrew opinii zawodowych panikarzy oficjalne fiasko nieinterwencyjnej fikcji bynajmniej nie grozi wybuchem wojny światowej na tle walk w Hiszpanii.

W praktyce po prostu nic nie ulegnie zmianie, zaś utrzymywanie przy życiu fikcji, nawet w najbardziej szlachetnym celu, nie jest na dalszą metę pożądane, zwłaszcza z naszego punktu widzenia, punktu widzenia ludzi, którzy we wszelkich okolicznościach wolą „najgorszą pewność od najlepszej niepewności".

Demonstracyjna odmowa przyznania gen. Franco praw strony walczącej, zakomunikowana w imieniu Sowietów przez ambasadora Majskiego została niemal radośnie powitana przez Niemcy i Włochy. Dalsze próby kompromisu, lansowane przez Francję mają już charakter zgoła platoniczny, zwłaszcza wobec coraz wyraźniejszego zbliżenia pomiędzy Londynem a Rzymem, zadokumentowanego w postaci wymiany serdecznych listów pomiędzy Mussolinim a premierem Chamberlainem.

Powracając do sprawy „storpedowania" angielskiego projektu kompromisowego przez Sowiety, nie sposób nie zwrócić uwagi na nielada „chucpę", że użyjemy tego określenia, jako najbardziej zrozumiałego dla przytłaczającej większości sowieckich dyplomatów. Oto Moskwa zażądała wycofania nie tylko zagranicznych ochotników, walczących po stronie gen. Franco, lecz również wojsk marokańskich.

Tego było zawiele nawet dla rekordowo cierpliwej, jeśli chodzi o wszelkiego rodzaju dywersje sowieckie, opinii francuskiej, która musiała zwrócić uwagę, że w myśl starożytnego przysłowia „hodie mihi — cras tibi" — ktoś kiedyś mógłby zażądać od Francji rezygnacji z wojsk kolonialnych.

Jeśli chodzi o nas — to z punktu widzenia polskiej racji stanu — bardzo gorąco poparlibyśmy „marokańskie" wystąpienie ambasadora Majskiego wzamian za zobowiązanie, aby czerwona armia zrezygnowała w przyszłej wojnie z żołnierzy ukraińskich, białoruskich, kaukaskich i tatarskich, a ograniczyła mobilizację wyłącznie do „rdzennych Moskali", stanowiących 27 procent ogółu ludności w Sowietach...

Narazie nie ulega wątpliwości, że Moskwa wszelkimi sposobami pragnie zainteresować Europę Hiszpanią, aby móc zająć się nieco bliżej Dalekim Wschodem, choćby ze względu na bezpieczeństwo konsulatów sowieckich w Chinach północnych, których Japończycy na podstawie prawa międzynarodowego nie mogą pilnować przed napadami „białych" Rosjan, jak to miało miejsce w Tientsinie. To też, podczas gdy p. Majski „torpedował" brytyjski plan kompromisowy w Londynie, komuniści francuscy wykorzystali obchód ku czci Jaures'a celem gwałtownego zaatakowania polityki francuskiej wobec wojny domowej w Hiszpanii, domagając się czynnej pomocy dla Walencji...

Wystąpienie to nie odniosło narazie natychmiastowego skutku, mimo to wywołało poważne tarcia w łonie „frontu ludowego", w którym „harmonijna współpraca" komunistów z radykałami, od samego początku znalazła swój wyraz... w zakresie rozpowszechniania wśród wojska wydawnictw komunistycznych (ukazujących się we Francji zupełnie legalnie), wydanym przez radykalnego ministra wojny p. Daladier...

Na Dalekim Wschodzie panuje od paru dni względny spokój. Japończycy osiągnęli wszystkie cele, zamierzone w pierwszym etapie działań wojennych.

Jest to jednak najprawdopodobniej tylko przerwa mająca na celu nabranie tchu do prawdziwej wojny japońsko-chińskiej, do której obie strony czynią gorączkowe przygotowania.

Dotychczasowa „próba sił" wypadła dla Japonii znakomicie. Dwie wielkie prowincje północne Hopei i Czahar oraz część prowincji Szantung (obszar Tientsinu) opanowano w trzy dni przy liczebnym stosunku sił: 400 tysięcy Chińczyków na 25 tysięcy Japończyków, co prawda nie bez „tradycyjnego" przejścia na stronę Japonii dwuch wpływowych lokalnych generałów w Pekinie i Tientsinie. (66).

Od Administracji

Przypominamy Sz. Prenumeratorom konieczność odnowienia prenumeraty na miesiąc sierpień i III kwartał b. r.

*

P. P. Prenumeratorom, zalegającym z prenumeratą, wstrzymamy wysyłkę naszego pisma.

*

Przy wpłacaniu prosimy o podawanie na odwrotnej stronie blankietu P. K. O. tytułu wpłaty.

Adres Redakcji i Administracji: **Warszawa 1, Al. Ujazdowskie 20 m. 7, tel. 7.11.97. Konto czekowe P. K. O. Nr. 25.544**

Numer pojedyńczy 30 gr. — prenumerata miesięczna 1 zł. — trzymiesięczna w kraju 2 zł. 50 gr. — zagranicą 4 zł. 50 gr.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca: **Leon Borkowski**

Godziny przyjęć redakcji: 5—6 we wtorki, czwartki i soboty. Administracja czynna codziennie 10—12 i 5—7.

Cennik ogłoszeń: za tekstem 1/1 — 300 zł., 1/2 — 160 zł., 1/4 — 85 zł., 1/8 — 45 zł., 1/16 — 25 zł. Za wiersz milimetrowy — 70 gr
Układ tabelaryczny 50% drożej.

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10